

MAGAZYN KONFEKCYI DAMSKIEJ

Leona Grabowskiego w Krakowie, Plac Maryacki L. 9 róg Rynku głównego

poleca bogaty wybór okryć damskich i kostyumów bluzek
stojnych i angielskich, bez strusich i rękawiczek.

Sprzedawca materiałów na metry.

WŁASNA PRACOWNIA.

Fryderyk Mauzens.

PARYSKIE GADY.

50

— Pani dziadek — mówił dalej inżynier — ma wkrótce wyjechać... Prawdopodobnie nie wróci tak prędko... Ma odbyć dłuższą podróż... razem z pani matką...

— Ach! — jęknęła Kamilla drżącym głosem. — Czy matka moja będzie także długo nieobecna?

— Tak...

Nastąpiło milczenie. Kamilla patrzyła uważnie na Maurycego, który wzrok utkwiony miał w dywan, by nie widzieć młodej panny.

Nagle nieszczęśliwa rzekła:

— Pan wie wszystko?

— Wszystko? — powtórzył Maurycy. — Co takiego?

— To, czego ja znam tylko połowę...

Przy słowach tych, wypowiedzianych mdlejącym głosem, inżynier podniósł oczy i uczuł, jak krew mu stygnie w żyłach. Biała twarz Kamilli stała się tak przezroczystą, iż trudno ją było teraz poznać.

— Błagam panią... — szeptał młody człowiek, nie wiedząc, co mówi. — Niech pani nie umiera... Ja panią tak kocham...

— I ja pana kocham... — rzekła Kamilla, jakby mówiła przez sen. — Ja pana zawsze kochałam... A jeżeli panu odmówiłam swej ręki, to dlatego, iż wypadek pozwolił mi poznać ohydłą tajemnicę... iż czuję się niegodną pana...

Młoda panna nie władała już sobą tak, jak nie panuje nad sobą obłąkany lub zahipnotyzowany. Musiała wypowiedzieć wszystko, co myślała. I mówiła to, nie wiedząc nawet o tem, i mówiła głosem tak zmienionym, jak była zmieniona jej twarz.

Bolesć i rozpacz, jakich doznawał Maurycy na widok takiego cierpienia, mieszały się z żywą radością przy wyznaniu heroicznej komedii, jaką przedtem względem niego odegrała Kamilla.

I on już nie panował nad sobą.

— Jakto?... — zapytał. — Pani się czegoś dowiedziała?... I to dlatego... Och!...

— Maurycy!... — rzekła Kamilla, kładąc rękę na ramieniu młodego człowieka. — Co oni zrobili?..

Inżynier nie mógł już teraz zachować miary w swych słowach. Nie zdolny był do układania zdań i skrywania prawdy.

— Znieśliście ją... — odpowiedział. — Chcieli zgubić tę biedłą Ludwikę Dubois...

— Lecz dlaczego?... Dlaczego?

— By znieślić ją w oczach Piotra Cartelegue'a, który chciał ją poślubić... Chcieli ją znieślić, porwać i zgubić...

Z piersi Kamilli dobył się przeraźliwy jęk. Usta jej wykrzywił przejmujący ból.

Maurycy spostrzegł dopiero teraz, do czego doprowadził ukochaną swemi słowami.

— Lecz co ja mówię?... — przerwał. — Ja nie powinienem opowiadać tego!...

— Owszem!... Powiedz a! mi pan przed chwilą, że dziadek i matka nie prędko wrócą... Oni nie powrócą już nigdy?

Inżynier nie odpowiedział.

— Oni nie żyją?... — zawołała młoda panna.

— Nie! nie! żyją! — odparł Maurycy.

— Ale śmierć im grozi?... —

Inżynier znowu milczał.

— Kto ich ukarze?... Kto ich skazał?... Piotr?..

— Piotr a zwłaszcza Julian Maixent...

— Ten pan, którego tu widziałam?...

— Tak...

— Dlaczego on to czyni?... Czy i on ma powody do skarżenia się na nich?...

— Tak...

Kamilla zamilkła na chwilę, potem złożyła ręce i rzekła:

— Maurycy, ja muszę widzieć pana Maixenta... Obowiązkiem moim jest uczynić wszystko, by ocalić matkę...

— Boję się... — zaczął inżynier.

— Maurycy, ja proszę — przerwała młoda panna pokornym tonem — ja błagam, by pan mi ułatwił widzenie pana Maixenta...

— Dobrze! Niech pani poczeka! Pomyśl! — rzekł inżynier.

Przez chwilę stał w milczeniu, potem przeszedł do sąsiedniego pokoju, gdzie znajdował się telefon. Wkrótce dyrektor świętej Anny oznajmił miliardrowi, iż Maurycy oczekuje go przy ulicy Amsterdamskiej.

W pół godziny potem Lewis Jackson wchodził razem z Piotrem i Joem Smithem po wąskich schodach swego hotelu.

Na drugim piętrze przed drzwiami swego pokoju Amerykanin ujrzał dwa cienie.

— To pan de Terrade? — zapytał.

— Tak, to ja — odpowiedział inżynier.

Lewis Jackson otworzył drzwi swego pokoju i słabe światło oświeciło korytarz.

— Panna de Lagunan?... — rzekł Amerykanin, poznając młodą pannę.

Piotr na widok swej przyjaciółki nie rzekł ani słowa, nie zrobił najmniejszego ruchu.

— Proszę!

Maurycy i Kamilla weszli do pokoju.

— Czego pani sobie życzy?

Lewis Jackson zamknął spokojnie drzwi i zwrócił się z tem zapytaniem do młodej panny.

Kamilla postąpiła dwa kroki ku Amerykaninowi i padła przed nim na kolana.

— Łaski dla mej matki!... — szepnęła.

Piotr nawet nie drgnął. Od wizyty swej w schronisku dla obłąkanych oczy miał suche i świejące, wyraz twarzy ostry i zdawał się być nieczułym na wszystko. Lewis Jackson był bardzo zaniepokojony tym stanem młodego człowieka. Dałby wiele, by choć kilka łez uronił.

Joe Smith stał sztywny w rogu pokoju. Przy słowach młodej panny miliardier zmarszczył lekko brwi.

— Czy pani wie, co ona uczyniła? — zapytał.

— Wiem... — odrzekła Kamilla. — Chciała ją znieślić w oczach Piotra...

— I starała się usunąć ją z tego świata...

— Wiem.

— I zbrodni, której dopuściła się obecnie względem Piotra i Ludwiki, dokonała przed dwudziestu laty na mnie i na mej żonie...

Kamilla otworzyła usta, lecz nie mogła dobyć z siebie żadnego dźwięku.

— Żona moja umarła z tego powodu — ciągnął dalej Julian Maixent. — Ludwika również może umrzeć... a na razie jest obłąkana...

Kamilla upadła na podłogę. Lecz zaraz wyprostowała się, pozostając na kolanach. I w tej pozycji zwróciła się do Piotra, który patrzył na nią obojętnym wzrokiem.

— Byłam twoją przyjaciółką... — błagała. — Przebaczone, które ci wyrządzono z mego powodu... wybacz... wybacz...

Doczołgała się na klęczkach do młodego człowieka i chwytając go za rękę, pocałowała ją.

Piotr zaczął drżeć, potem nagle wybuchnął płaczem.

— Ach! — zawołał Lewis Jackson. — Pani go pobudziła do płaczu! Dziękuję! Teraz przynajmniej on został ocalony i będzie to pani policzonem.

Kamilla odczuła, że sprawa jej przyjmuje lepszy obrót. Spojrzała na amerykanina wzrokiem pełnym

wdzięczności i znowu opadła bez czucia na ziemię. Maurycy pochwycił ją w swe ręce i złożył omdlałą na małym żelaznym łóżku miliardera.

— Hallo! — zapytał Lewis Jackson. — Zostawimy więc ich przy życiu?

— Well! — ciągnął dalej amerykanin. — Zmienię wyrok...

Ze zmarszczonem czołem, z oczami podniesionymi do góry, z rękami w kieszeniach rozmyślał przez chwilę. Potem po minucie rzekł:

— Los obu tych kanalii został już postanowiony... Hallo! Smith! chodźmy! Musimy zawiadomić Dureta o wyroku!

XI.

Gdy poprzedniej nocy policjanci rowerowi po dokonaniu pierwszych oględzin wyszli z willi, by się na rowery i zawiadomić komisariat o kradzieży, krzyknęli zdumieni, podchodząc do drzewek ogrodu. Rowerów, które pozostawili tu oparte o akację, nie było. Zwrócili się do otwartego okna, w którym stał Maksym Duret i zawołali razem:

— Skradziono nasze maszyny!...

A jeden z nich dodał:

— To złodzieje urządzili nam ten kawał!...

Potem wyszli i pobiegli szybko w stronę komisariatu.

Prezes zamknął okno, dał znak służbie, by go opuściła i opadł w fotel stojący między kasą ogniotrwałą a biurkiem, z którego zginęły pieniądze.

— Nie rozumiem — powtarzał. — Przecież Panajon dostał trzy kule, dwie w plecy, a jedną w głowę... Tyleż otrzymał i Tetard... Naboje te były wielkiego kalibru... Sześć strzałów... Nic, nie nie rozumiem... Oni muszą być zabić... Każdy z nich został trzykrotnie rażony... Lecz w jaki sposób znikły pieniądze, które włożyłem do teki?...

Schwycił się rękami za głowę.

— Tutaj musiał być ktoś ukryty... Lecz gdzie?... I jak ten ktoś potrafił unieść zabitych i pieniądze?... Policjantów wcale to nie zakłopotowało. Utrzymują, iż złodzieje nie zostali nawet zranieni i udali tylko śmierć... i że uciekli przez otwarte okno, gdyśmy byli w korytarzu... Ale ja wiem dobrze, że nie mogłem chybić... strzelałem nie od drzwi na kilka metrów od nich, jak to mówiłem, lecz wprost przykładając prawie do nich rewolwer...

Wkrótce przybył komisarz. Tajni agenci zostali zaraz uwiadomieni. O czwartej rano szef policyi osobiście w towarzystwie inspektora Loustana zjawił się w gabinecie Maksyma Dureta. Byli bardzo przejęci tą kradzieżą.

— Ach! — rzekł Loustan, widząc wypitowaną ścianę z kasy ogniotrwałej. — Ładna robota!

Od pierwszego rzutu oka ocenił talent włamywacza.

— Znamy już pańskich złodziei — oznajmił szef Maksymowi Duretowi.

— Naprawdę?

— Tak... Jest to dwóch recydywistów, jeden z nich bardzo niebezpieczny... Panajon i Tetard...

— Odnaleźli panowie ich zwłoki?... — zapytał Duret.

— Ich zwłoki?... — odparł Loustan. — Cóż znowu. Są oni w jak najlepszym zdrowiu!...

— Ateż ja ich zabiłem!... — twierdził prezes.

— Tak się panu tylko zdaje... Chybił pan...

— To niemożliwe!... Jestem przekonany...

— Proszę pana — przerwał Loustan — spotkałem ich o pierwszej w nocy na Avenue Villiers, gdy szli jak najzdrowsi... Poszedłem za nimi. aż na ulicę Boissy-d'Anglas pod numer 36. i tam przytrzymałem tego Tetarda... który widocznie nie czuł się źle, jeżeli dopiero przy pomocy stróża mogłem sobie z nim poradzić...

(Ciąg dalszy nastąpi).